

SHELLY

LAURENSTON

BESTIA W

NIM

Tłumaczenie: *Night-Angel*

## Prolog

Prawda, był pijany. Bardzo pijany. Pomysł jego ojca na właściwe pożegnanie najmłodszego syna, zanim rząd Stanów Zjednoczonych przywłaszczy sobie jego tyłek na kolejnych kilka lat. Ale to, że nie powinien wypić tych ostatnich czterech tequili, nie znaczyło, że nie wie, że ją tropili.

Zawsze ją tropili. Nigdy nie zostawiali w spokoju. Z tego, co mógł powiedzieć, już nawet nie zostawała w domu. Jej zastępczy rodzice się tym nie zajmowali dopóki napływały czeki. Więc zwykle mieszkała w lesie jak dzikie dziecko. Tyle, że nie była dzikim dzieckiem. Tylko biedną dziewczyną, która miała takie niefortunne szczęście, że znalazła się po przeciwnej stronie, niż jego młodsza siostra.

Złapał ich zapach i natychmiast wiedział gdzie się kierowali – Szkoła. Znajdą ją pod trybunami. Często tam się chowała. Mogła się schować wszędzie, jeśli tylko musiała. W przeciwieństwie do krzepkich Wilczyc, ona była mała i szczupła, ale silna, jak dzikie psy.

Do czasu, gdy dotarli do gimnazjum, on stał już przed trybunami. Nie miał czasu jej szukać i zabrać stąd, musiał ich zatrzymać tutaj.

- Cześć Bobby Ray. – Bertha znana także jako Grubokoścista Bertha zagruchała. Jego siostra, szesnastoletnia, a już mająca sześć stóp<sup>1</sup> wzrostu, wciąż była mniejsza od Berthy. Ale była nieustępliwa i Bertha wcześniej nauczyła się nie zadzierać z Sissy Mae Smith. Nauczyła się tego w bardzo trudny sposób. Teraz sama wykorzystywała to na mniejszych, słabszych Omegach w mieście. Teraz, wydawało się, że specjalnie uwzięła się na te jedną konkretną. Tę dziewczynę bez ochrony, rodziny, Sfory. Pies pośród wilków. Pan musiał być okrutny zsyłając mu te myśl.

- Wiem, dlaczego tu jesteś, Bertha. I chcę żebyś wzięła swoich przyjaciół i odeszła.

- Och daj spokój, Bobby Ray. Nie skrzywdzimy jej ani trochę. – Bertha przykucnęła, aby popatrzeć przez listwy trybun. – Czy ona tam jest? Wyjdź Jessie Ann. My tylko chcemy powiedzieć cześć.

- Powiedziałem, że macie odejść.

Bertha wstała, prawie tak wysoka jak on, i odrzuciła włosy na plecy.

---

<sup>1</sup> Ok. 182,88 cm

- Dlaczego nie jesteś na swoim przyjęciu, Bobby Ray?
- Kiedy mój ojciec zaczyna chwytać moich braci za karki i mówić im, że żyją tylko, dlatego, że nie zabił ich w kołysce, to znak dla mnie, że powinienem się zmyć.
- Podszła bliżej.
- Naprawdę dołączysz jutro do NAVY<sup>2</sup>?
- Już dołączyłem, kochana. Jutro wsiadam do autobusu. – I w cholerę stąd.
- Będziesz tęsknił. – Powiedziała cicho, tylko do niego.
- Moja mama powiedziała to samo. – Objął ją ramieniem i skierował z powrotem do drzwi. – Słuchaj, weź stąd tych ludzi. Czekam tu na kogoś.
- Kogo?
- Przyjaciela, który zamierza mi pomóc w byciu najlepszym, w trzech okręgach. Ale nie przyjdzie, jeśli wyczuje widownie. Więc czemu nie wrócisz na przyjęcie i tam się spotkamy? – Uśmiechnął się z przymusem. – A wtedy urządzimy sobie własne przyjęcie.
- Ok. Do zobaczenia za jakąś godzinę?
- Jasne. – Kłamał, czuł się prawie winny, gdyby nie wiedział, że przyszła tu by pobić dziewczynę ważącą dziewięćdziesiąt pięć funtów<sup>3</sup>.
- Bertha pocałowała go w policzek i pokierowała wilkami by poszły za nią. Większość z nich już była nieźle pijana. Jeszcze kilka drinków i wszyscy padną, a kiedy obudzą się rano, on będzie w autobusie i opuści Smithtown na zawsze.
- Kiedy ich zapach osłabł, Bobby Ray odwrócił się i skierował się ku trybunom.
- W porządku Jessie Ann. Możesz wyjść. – Czekał na jej odpowiedź, ale wyglądało na to, że wciąż była przestraszona. Złapał jej zapach, więc musiała tu gdzieś być. – Dalej Jessie Ann, wiesz, że nie musisz się mnie bać. Odprowadzę Cię do domu. – Ostatecznie miał nadzieję, że da radę. Ta tequila zaczynała w niego uderzać dość mocno.
- Psiakrew, Jassie Ann, nie mam na to czasu. – Obszedł wokół trybuny i przykucnął żeby pod nie zajrzeć. Chwiał się trochę przez alkohol, więc sięgnął i lekko położył rękę na metalowych trybunach.
- Nie!

---

<sup>2</sup> Marynarka Wojenna Stanów Zjednoczonych

<sup>3</sup> Koło 43 kg

Małe brązowe ręce złapały go za ramiona i pociągnęły w tył. Obydwoje uderzyli o podłogę, gdy trybuny rozleciały się jak klocki domina. Gdyby znalazł się pod nimi zmiądzłoby go na śmierć.

Cisza, po tych ogłuszających dźwiękach trzaskającego metalu, zaszokowała go.

- Ty to zrobiłaś. – Bobby Ray spojrzał przez ramię na Jassie Ann Ward. Była małym, słodkim czymś, ale zbyt niewinna jak na jego gust. Wielkie, szeroko otwarte, brązowe oczy, słodki mały nosek, i pełne usta obiecujące całą gamę rzeczy, których jak on był przekonany, ona nigdy nie była by w stanie dostarczyć. Swoje długie, kręcone włosy miała związane w dwa kucyki i łatwo można było zobaczyć wiele kolorów przeplatających się w każdym. Wszystkie dzikie psy miały wielobarwne futro, gdy zmieniały się w ludzi, kolory przechodziły na włosy. Brązowe, złote, blond, białe i czarne, wszystkie na jednej głowie sprawiały trudności Jassie, by być niewidzialną.

Wciąż, był na nią napalony od momentu, kiedy ją zobaczył po raz pierwszy, ale Jessie Ann była tym typem dziewczyny, z którym się żenisz, a nie tylko obściskujesz. On nie miał zamiaru utknąć w tym mieście. Kolejny samiec Smith z pakietem bezwzględności i kobietą, nie wiedząc czy go kocha, czy nienawidzi, a prawdopodobnie obydwie te rzeczy.

- Mogłem zginąć. – Zawarczał.

- Nie warcz na mnie. – Odwarknęła, siadając. – Po za tym, to nie było dla ciebie.

- Nie to było dla nich. I sądzisz, że mogłabyś sobie kiedykolwiek wybaczyć gdyby rzeczywiście pod tym zginęli?

- Nie zginęliby. To miało ich tylko odstraszyć. Jestem zmęczona tym, że polują na mnie jak na gazelę.

Gapił się na nią i w końcu zobaczył wszystkie stłuczenia i siniaki na jej twarzy i szyi, prawdopodobnie schodzące w dół po jej torsie i nogach. Znow ją złapali. Szlag. Starał się ją chronić, ale to było wszystko, co mógł zrobić, Sissy Mae po prostu nie odwoła swoich wilczyc. Nie ma jeszcze siedemnastu lat a ma już własną sforę. Dziewczyny w jej wieku chodziły za nią wokół miasta jakby miało miejsce Powtórne Przyjście Chrystusa. Nie miał pojęcia, co się między nimi stało, ale Sissy Mae dała jasno do zrozumienia, że uważa, Jessie Ann za Omegę w jej sforze. Problem w tym, że Jessie Ann nie za bardzo odpowiadała ta pozycja. Więc walczyła, kiedy większość wilków Omega poddałaby się i czekała aż to się skończy. Ale ona nie była wilkiem. Była dzikim psem. I gdyby miała swoją własną sforę..., ale dzikie psy wymierały. Młodzi dorośli byli narażeni na złośliwy szczep grypy, który mógł być przenoszony przez nich podczas zmiany kształtu. To zmiotło z powierzchni ziemi więcej niż połowę

dorosłych, nim ich lekarze mogli sobie z tym poradzić i wyjść ze szczepionką mogącą temu zapobiec. Ta cholerna rzecz pozostawiła wielu dziadków wychowujących szczeniaki i wiele sierot. Sierot takich jak Jessie Ann.

Tragicznie, jak pełno krwiste dzikie psy w Afryce, ludzie Jassie wymierali. Co oznaczało, że nie miała nikogo po za nim, kto by na nią uważał. A kiedy jutro wsiądzie do autobusu, straci nawet to.

- Jessie, musisz nauczyć się o sobie troszczyć. – Bez zastanowienia, Bobby Ray, podniósł rękę, by dotknąć jej policzka, a ona odsunęła się od niego, co zraniło jego uczucia. Zwłaszcza jego pijane uczucia<sup>4</sup>. – Nie skrzywdziłbym cię.

Odsunęła się szybko od niego.

- Wiem. – Jeśli tak, to, dlaczego się od niego odsuwała? Rozdrażniony chwycił jej kostkę i przytrzymał w miejscu.

- Jeśli to prawda to, czemu ode mnie uciekasz?

- Nie uciekam. – Ale desperacko próbowała go zmusić by puścił jej nogę.

- To przestań się awanturować! – Kłapnął zębami. Kiedy nie przestała szarpnąć ją i jakimś sposobem wylądowała na jego kolanach.

Sapnęła zaskoczona, jej ramiona wokół jego szyi, jej uda po obu stronach jego bioder. Przez maleńką chwilę, czuła się tam bardzo dobrze. Oparł ręce na jej biodrach. Bobby Ray wiedział, że powinien ją odepchnąć, ale wszystko, czego pragnął to przyciągnąć ja jeszcze bliżej.

Wpatrywała się w jego twarz, te brązowe oczy pożerające go na miejscu. Taa, wiedział, kiedy dziewczyna go chciała, i ku jego kompletnemu zaskoczeniu, Jessie Ann Ward go chciała. Przyglądał się jak zbiera w sobie odwagę, wtedy poruszyła się, jej usta zbliżały się do jego. Mógł czuć jej słodki oddech w swoich ustach i mógł sobie łatwo wyobrazić jak gorący ten pocałunek by był. Wiedział, że ona smakuje niesamowicie i odpowiedziałyby mu jak nikt inny przedtem.

Wiedział też, że całowanie jej byłoby najgłupszą rzeczą, jaką mógłby kiedykolwiek zrobić. Tak, więc, zbyt pijany by miarkować swoje działania, zepchnął ją ze swoich kolan, krzywiąc się, kiedy ciężko upadła na podłogę.

Bobby Ray przebiegł rękami po swoich włosach. Za jakiś czas straci je wszystkie.

- My..., my nie możemy.

- Nie możemy, czego? – Warknęła, podnosząc się na nogi. – Chwyciłeś mnie. – Stała i mógł zobaczyć, że miała na sobie jedną z jej koszulek Star Wars. Musi mieć takich z dziesięć i dziesięć z Poszukiwaczy zaginionej Arki. Bardzo frajerskie, Jessie Ann...

---

<sup>4</sup> Taa te dopiero są wrażliwe...

- Nie bądź zła Jessie Ann. To nie jest...

- Zapomnij. – Popatrzyła na mały zegarek na swoim nadgarstku. Miała coś dziwnego z czasem, co wydało mu się fascynujące, gdyż nikt inny w mieście tego nie miał. – Mam się spotkać z przyjaciółmi w Riley's. – Sklep z komiksami w najbliższym mieście.

- Pójdę z tobą. – Nie podobało mu się to, że będzie tam sama.

- Nie, nie potrzebuje Cię. – Praktycznie wypluła mu to w twarz, następnie wzięła swój za duży plecak wypełniony jej frajerskimi książkami i gazetami i założyła go na ramiona. Jak na taką drobinę, nie miał pojęcia, jakim cudem, jest w stanie holować tę torbę.

- To jest dla ciebie zbyt niebezpieczne iść tam o tej porze.

- Spotygam się z przyjaciółmi. – Jej przyjaciele. Wszyscy samce. Zawsze wylapywał ich zapach utrzymujący się wokół niej. Kiedyś ich widział, kiedy z jednym kolegą dla kaprysu weszli do sklepu z komiksami. Była z tyłu z pięcioma innymi facetami grając w jakąś grę zawierającą tablicę, papier i wielościenną kostkę. Usłyszał, że wmieszane są też smoki i w tym momencie stracił zainteresowanie. Smoki, miecze, wróżki – wszystkie tego typu rzeczy brzmiały dla niego głupio. Ale nie podobało mu się to, że spędza czas z tymi w pełni ludzkimi facetami. Teraz lubił ich nawet mniej.

Odwróciła się i zaczęła odchodzić, ale zatrzymała się i obejrzała na niego przez ramię.

- Powodzenia Smith. No wiesz jutro. Będziesz świetny. – Po czym uciekła. Nie wysiłał się by pobic za nią. Dzikie psy były niewiarygodnie szybkie, a on był zbyt pijany żeby nadążyć.

Zamiast tego, Bobby Ray położył się na podłodze i zamknął oczy, zauważając, że kilka godzin snu odświeży go jak deszcz. Oczywiście wszystkie te sny o małej psowatej z niewinnymi oczami, nieszczemnych ustach tylko go wyczerpią i zostawią z pragnieniem by sprawy toczyły się inaczej. Ale tak nie było. Nie dopóki nie wyjedzie ze Smittown i nie zmieni swojego życia na lepsze.

Wtedy może, i tylko może będzie miał coś do zaoferowania małej, psowatej z ikłą, która mogłaby upolować męskie sny i serce.